1923 r. KWIECIEŃ № 6.

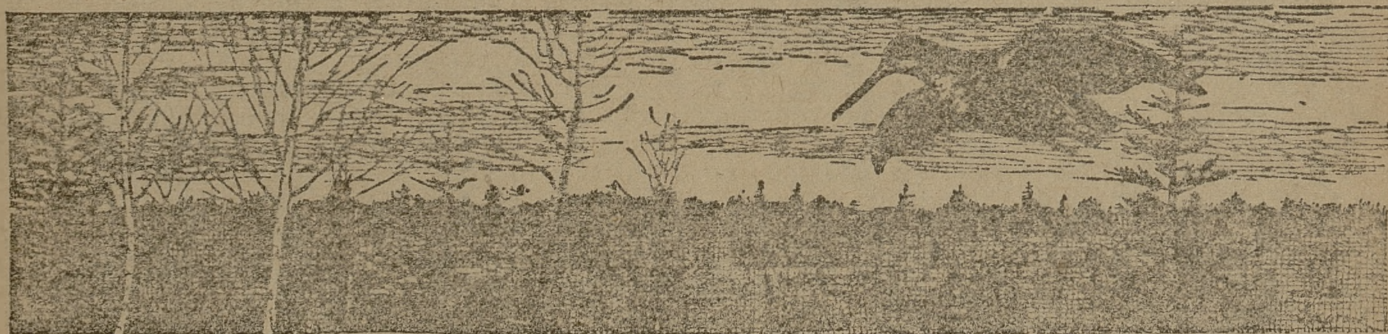
# PRZEGLĄD MYŚLIWSKI

Dwutygodnik łowiecki pod redakcją JULJANA EJSMONDA.

**Kalendarz myśliwski:** W kwietniu wolno polować na cietrzewie, słonki, kaczory.

Redakcja Warszawa, Szpitalna 1 m. 1. Administracja: Szpitalna 12. (w „Kurjerze Polskim"). Redaktor przyjmuje we wtorki od 4½ do 5

Cena pojedyńczego egzemplarza 1000 Mk. — Prenumerata miesięczna 2000 Mk. Na prowincji — 2400 Mk. Odnoszenie do domu od egzemplarza — 200 mk. Egz. w oddzielnej prenumeracie—zbroszurowane, na lepszym papierze.
Prenumeratorzy „Kurjera Polskiego" otrzymują „Przegląd Myśliwski" bezpłatnie, jako dodatek.
Cena ogłoszeń: strona — 400.000. ½ strony — 200.000, ¼ strony — 100.000.



## Z WIOSNĄ.

Noc była księżycowa, cicha i ciepła, pierwsza po długotrwałych zawieruchach śnieżnych i niespodzianych wiosennych mrozach. Jechałem wówczas konno dróżką, idącą po wyniosłym garbie leśnym. Lecz w pewnej chwili posłyszałem nad sobą szum jakiś. Wstrzymałem konia, i to, com usłyszał, skłoniło mię natychmiast do zejścia na ziemię. Domyśliłem się, że miałem przed sobą zjawisko rzadkie, które nie każdemu jest dane obserwować. Całe powietrze nade mną drgało. Bezdenna blada otchłań nocnego nieba, zda się, żyła swem odrębnem życiem. Dolatywał mię stamtąd przytłumiony szmer, w którym ucho wyławiało pojedyńcze znane odgłosy. Krzyki i świsty różnych gatunków kuligów, kwakanie kaczek. czasem ostry krzyk czapli—odcinały się wyraźnie na tle jednostajnego szumu i świstu miljonów skrzydeł, prujących powietrze. Czasem słychać było ostry, melodyjny świst skrzydeł gągolich, to znów wysoki ton lotu północnych lodówek, niekiedy znów rozróżniałem skrzydła nurów, wielkich traczy i szlacharów.

Dziwny, gorączkowy pośpiech znać było w spóźnionych, a stęsknionych do stron rodzinnych rzeszach ptasich. Głosy odzywały się radosne, wyraziste, nabrzmiałe tęsknotą i szczęściem. Wsłuchany w zjawisko, miałem wrażenie, że istotnie trzymam przeczuloną dłoń na pulsie przyrody, czuję jej życie wewnętrzne, wchłaniam je w siebie. I chciało się wraz z temi wędrownemi rzeszami lecieć gdzieś w przestrzeń bez końca, do czegoś dążyć, czegoś chcieć, za czemś tęsknić... Dziwne to wrażenie wyrwało mię na chwilę z koliska osobistych przeżyć i uczuć, oderwało jakby od ziemi. Siedziałem długo, jak gdyby zahypnotyzowany na wielkim, przydrożnym kamieniu i ocknąłem się dopiero wówczas, gdy z pierwszym brzaskiem dnia uciszyły się rozkołysane warstwy powietrzne. Jeszcze od czasu do czasu przemknęło ze świstem stadko kaczek, czasem odezwał się pisk kuliczy, ale główny przelot już się skończył.

*Włodzimierz Korsak.*

# Wspomnienia myśliwskie z Azji Środkowej.

## I. Polowanie na jaki.

Czytając ostatni numer „Przeglądu Myśliwskiego“ — mimowoli cofnąłem się myślą wstecz, do czasów, kiedy służąc długie lata w Azji Środkowej, z polecenia Towarzystwa Geograficznego odbywałem podróże na Pamir, do źródeł rzeki Indus, badałem pustynię Raskem i docierałem do Tybetu, wzdłuż północnych zboczy Himalajów.

Polowałem wtedy na wszystko, począwszy od dzikich jaków, tygrysów, dzikich baranów (ovis Poli), niedźwiedzi i kozłów skalnych do wszelkiego ptactwa włącznie. Nie gardziłem niczem. Polowałem nietylko dla sportu, lecz celem zdobycia żywności, gdyż nieraz los i życie całej ekspedycji zależało od tego, co się udało upolować.

Opowiem najpierw, jak mi się udało zabić pierwszego Jaka.

Było to w grudniu 1888 roku. Ekspedycja moja przeszła Pamir, pustynię Raskemu, przecięła około Szachiduła Chodżi drogę karawan wiodącą z Indyj do Zach. Chin i idąc kilka miesięcy krajem, położonym 12—15 tysięcy stóp nad poziomem morza, do pustyń północno-zachodniego Tybetu.

Pasmo Himalajów piętrzyło się na południu, góry Kuen-luń, na północy tworzyły olbrzymie płaskowgórze pełne jezior, urwisk i przełęczy. Doliny i zbocza pokryte były grubym żwirem. Nigdzie nie widać było drzewa ani krzaku i tylko na brzegu jezior i koło lodowców, na śniegu wzrastała nikła trawa, służąca za pokarm antylopom, dzikim osłom i jakom.

Posuwaliśmy się na wschód z nadzwyczajnym wysiłkiem, bo mróz dochodził do 46°C., a przytem ze świtem poczynał się wicher dochodzący około 2 p.p. do siły huraganu, który niosąc żwir i skalne odłamki smagał do krwi twarze i ręce podróżników i milknął dopiero około zachodu słońca. Jako paliwo zbieraliśmy pomiot zwierzęcy, a także w wielkiej ilości rosnące wszędzie korzonki smolistej rośliny terskien. Szczególniej trudno było zdobyć wodę dla koni, które lizały lód i wieczny śnieg, ale nie mogły tem ugasić trapiącego ich pragnienia. Dostać zaś wodę z jezior było bardzo trudno z powodu grubej powłoki lodu, dochodzącej do metra i z powodu braku odpowiednich przyrządów.

Posuwaliśmy się w ten sposób na 25—30 kilometrów dziennie, dążąc na wschód, do zaludnionej części Tybetu, gdzie miałem zamiar zatrzymać się dłużej w celach naukowych.

Ślady jaków i świeży ich pomiot spotykaliśmy dosyć często, idąc już tydzień przez pustynię, ale samych zwierząt nie udawało się nam zobaczyć. Z niecierpliwością oczekiwałem chwili spotkania z tem największem i najdzikszem zwierzęciem Azji, które nie tylko zaopatrzyłoby nas na długo w zapas świetnego mięsa, ale i dostarczyłoby też mocnej skóry do obuwia, potrzebującego już naprawy.

Jak zwykle jechałem na przedzie ekspedycji, robiąc przy pomocy busoli zdjęcia topograficzne miejscowości i mając przy sobie jednego kozaka i krajowca myśliwego, który przyłączył się do nas w Machiduła-Chodża. Cała karawana ciągnęła o parę kilometrów z tyłu, żeby nie płoszyć zwierzyny. Właśnie wjechaliśmy na niewielki pagórek, żeby określić dalszy kierunek drogi, gdy wtem krajowiec-myśliwy błyskawicznie zeskoczył z siodła i cofnął mego konia za zbocze pagórka, szepcząc wzruszonym głosem: „Jak! Jak!“

Powierzyliśmy konie kozakowi, każąc mu wracać do karawany, a sami z zapartym oddechem na brzuchu popełzliśmy na pagórek, żeby rozejrzeć się w sytuacji.

Ukrywając się za skałą, spojrzałem na dół i zobaczyłem o jakie 500—600 metrów, stado jaków żerujących na łące około zmarzniętego jeziora. Było tam 16 sztuk starych jaków i kilka młodych. Parę krów leżało oddzielnie na śniegu. Na zboczu przeciwległej góry stał wspaniały stary jak z ogromnemi rogami, leniwie szczypiąc trawę. Od czasu do czasu podnosił głowę i bacznie oglądał okolicę swemi małemi, ale bystremi oczkami. Pomimo silnego wiatru powietrze było tak czyste, że widziałem jasno każdy ruch zwierzęcia.

Dalej widać było kilka stad antylop, które zawsze trzymają się około większego stada jaków, szukając w nich opieki przed wilkami, a jeszcze dalej, prawie na drugim końcu jeziora—czerniało olbrzymie stado dzikich osłów (kulanów), ruchliwie przesuwających się z miejsca na miejsce.

Zbadawszy miejscowość, cofnęliśmy się pośpiesznie celem odbycia narady, jak zaatakować zwierzęta. Pełznąc wprost przed siebie, niepodobna było podejść je na strzał, gdyż zbocze zwrócone do jeziora było zupełnie nagie i pojawienie się nasze, albo spłoszyłoby jaki, albo też pobudziłoby je do wściekłego ataku na nas. Szarżujące stado rzuca się i tratuje kopytami wszystko po drodze, a bijąc rogami o ziemię, wyrzuca w górę odłamki kamieni.

Po naradzie postanowiliśmy obejść stado od południa, podpełznąć do miejsca gdzie stał prowodyr stada, korzystając z łożyska suchej w tej porze roku rzeczki.

Czekały nas trudy ogromne. Trzeba było obejść wokoło po zboczach pagórków około 3-ch kilometrów, podnieść się znowu na wzgórze i pełznąć głową na dół po stromem łożysku, zawalonym wielkiemi kamieniami. Z powodu mrozu i szalonego wiatru miałem na sobie oprócz lek-

kiego futerka jeszcze bekieszę na oposach; prócz tego bardzo przeszkadzał mi pas z ładunkami, oraz ciężka broń odtylcówka, którą stale nosiłem przewieszoną przez ramię, a którą pełznąc musiałem trzymać w rękach. Jeżeli dodać do tego że, cała miejscowość wznosiła się do 16 tys. stóp nad poziomem morza i że na takiej wysokości z powodu rzadkiego powietrza wogóle każdy wysiłek powoduje ciężkie ataki duszności — łatwo sobie przedstawić w jak opłakanym stanie byłem po 2-ch godzinach zmęczenia, kiedy według obrachunku mego towarzysza mogliśmy nareszcie wyjrzeć z poza urwistego brzegu łożyska, po którem pełzaliśmy dotąd. Czułem się fatalnie. Pomimo mrozu byłem cały mokry od potu, ręce mi się trzęsły, w skroniach dudniało i oddechu złapać nie mogłem. Potrzebowałam najmniej 10—15 minut na wypoczynek, żeby przyjść do siebie i przygotować sią do celnego strzału, do walki na śmierć i życie.

Towarzysz mój, jako krajowiec, obyty z miejscowemi warunkami, czuł się znacznie lepiej i naglił mię, bojąc się że stado żerując odejdzie w drugą stronę łąki i do strzału nie dojdziemy,

Na szczęście obawy jego nie sprawdziły się i kiedy nareszcie opanowałem się na tyle, że mogłem spokojnie podnieść się i wyjrzeć z za wyrwy, to okazało się, że jak do którego skradaliśmy się, leży o jakie 150 kroków na łące i drzemie z brodą opartą o ziemię.

Większość stada odpoczywała także—zbliżało się południe; tylko jeden samiec stojący na straży poczuł nas, podniósł głowę, chrapał głośno wciągając powietrze i niecierpliwie bił ziemię kopytami.

Nie mieliśmy chwili czasu do stracenia. Do dobrego strzału jak leżał trochę za daleko, a głównie na przeszkodzie stało to, że umieścił się w jakiemś wklęśnięciu terenu, tak, że tylko grzbiet kolosa było dobrze widać. Lecz wyboru nie było. Przed nami za wyrwą miejscowość była otwarta i równa; żadnego kamienia, żadnej skały, nic, coby mogło posłużyć za ukrycie w razie ataku rozszalałego stada. Bo według opowiadania mego towarzysza, jeżeli stado szarżuje, to leci jak burza, tratując kopytami i bijąc rogami wszystko na swej drodze. Ale przelatuje tylko raz, nie wracając nigdy z powrotem. Jedynym więc ratunkiem po strzale jest schronienie się za jakimkolwiek kamieniem, gdyż instyktownie omijają przeszkody na swej drodze. Postanowiliśmy strzelać. Ukląknąwszy bez szelestu wysunęliśmy broń. Towarzysz mój zapalił lont, oparł lufę na podpórce i... w chwili, kiedy jak, poczuwszy nas podnosił głowę, daliśmy ognia. Jak zerwał się, wysoko podskoczył, okręcił się na miejscu, szukając wroga i ruszył ku nam. Wszystko to trwało tak błyskawicznie, że nie zdążywszy włożyć nowego ładunku do ekspresu, musiałem przypaść do wyrwy, gdyż dzika bestja pędziła wprost na mnie. Całe stado szarżowało w naszą stronę szalonym pędem i z takim ogłuszającym hukiem, jakby konna baterja wyjeżdżała na pozycję; lecz przeleciawszy przez wyrwę o kilkadziesiąt kroków od nas — popędziło dalej w step.

Po wystrzale towarzysz mój spuścił psa ze smyczy, który ze wściekłem szczekaniem rzucił się na pędzącego jaka, podskakując do łba straszliwego potwora i zręcznie chroniąc się przed uderzeniem jego kopyt i rogów. Jak zapomniał o nas: sądząc, że widzi wroga przed sobą, popędził za psem, który wciąż wściekle ujadając, odprowadził go daleko, zatoczył krąg, a następnie zaczął podprowadzać olbrzyma znów ku nam. Jak wracał osłabiony, wyczerpany, z wysuniętym czarnym ozorem, z którego toczyła się krwawa piana. Z głębokiej rany pod krzyżem lała się obficie krew.

Przygotowałem się do strzału spokojnie i wyczekawszy odpowiedniego momentu, dałem ognia mierząc pod łopatkę.

Otrzymawszy ten postrzał, jak zachwiał się, upadł na kolana, parę chwil zębami szarpał ziemię, a potem upadł na prawy bok, obficie brocząc farbą, którą chciwie spijała zziajana psina.

Po przeżytych wrażeniach i poprzedniem zmęczeniu czułem się tak wyczerpany, że kroku stąpić nie mogłem, bo też towarzysz mój zostawił mię z psem przy zabitym jaku, żeby bronić go od szakali, które jak z pod ziemi wyrosły dokoła i czując ucztę pojękiwały zdaleka, a sam poszedł sprowadzić naszą karawanę.

Wkrótce zjawił się kozak z koniem, rozpalił ogień, nabrał śniegu do czajnika i zajął się przygotowaniem dobrze zasłużonej herbaty. Przed wieczorem nadciągnęła karawana i rozłożyła się na łące nad jeziorem.

Ponieważ to był pierwszy zabity dziki jak, którego ludzie moi widzieli, więc zachwytom końca nie było. I rzeczywiście jak był olbrzymi: ważył przeszło 2000 funtów.

Trzeba było ściągnąć skórę przed jej zamarznięciem. Robota to była bardzo uciążliwa, ponieważ nie było ani czem, ani na czem oprawić takiego olbrzyma.

Wzięliśmy skórę, która bardzo była nam potrzebna, tłuszcz, a także smakołyki, do których należał ozór, garb, polędwica i pieczenie. Resztę zostawiliśmy na ucztę wilkom i szakalom.

Skóra taka, wysychając na obuwiu, przybierała kształt nogi i, jak kalosze, chroniła nogi od zimna, a obuwie od ostrych kamieni.

*Generał Bronisław Grąbczewski.*

(D. c. n.)

# Uwagi do projektu „Ustawy łowieckiej".

W artykule, opublikowanym w Nr. 4 „Przeglądu Myśliwskiego", starałem się przedstawić krytyczny stan naszego łowiectwa, oraz przyczyny, które wywołały jego upadek.

Jako na pierwszy krok w celu zapobieżenia owej klęsce, wskazałem na konieczność, możliwie najrychlejszego, przedstawienia władzom rządowym projektu ustawy, mają ej być fundamentem nowej, lepszej ery w dziedzinie łowiectwa.

Obecnie więc, gdy projekt ten, opracowany przez Polskie Towarz. Łowieckie, został ogłoszony, a następnie na łamach „Przeglądu" zawiązała się nad nim dyskusja — pozwolę sobie wypowiedzieć kilka słów na dany temat.

Otóż ogólne wrażenie, którem doznał po kilkakrotnem i staranmem rozpatrzeniu tego dzieła, było bezwarunkowo dodatnie. Przekonałem się bowiem, że jest to konkretna podstawa, na której możemy oprzeć dalszą pracę w celu wskrzeszenia łowiectwa, coś, co pozwala nam wierzyć, że nie zginęło ono dla Polski bezpowrotnie, bo mamy kompetentnych rzeczoznawców, którzy nie przestali działać nawet wtedy, gdy ogół naszych myśliwych jedynie sarkać i narzekać potrafił.

Projekt ustawy opracowany jest szczegółowo, rozważnie i fachowo i pewny jestem, że w razie jego zatwierdzenia, oraz ścisłego przestrzegania przez władze państwowe zawartych w nim przepisów, zwierzostan nasz będzie się rozwijać normalnie i prawidłowo.

Nie zgadzam się stanowczo z zarzutem, że dana ustawa nie odpowiada chwili obecnej, będąc jakoby zbyt mało radykalną i że zamiast nam dać rękojmię poprawy zwierzostanu, będzie jedynie podstawą „legalnego" (a nie jak dotąd partyzanckiego) jego tępienia.

Sądzę, że koledzy-myśliwi, którzy czytali mój poprzedni artykuł, nie posądzą mnie chyba o pobłażliwość w traktowaniu łowiectwa ani też o optymizm odnośnie warunków w jakich się ono u nas znajduje. Przytaczałem nawet, jako przykład akcji ratunkowej, skrajnie radykalne, wprost drakońskie zarządzenia Wszechrosyjskiego Związku Myśliwych. Pomimo tego jednak, nie mogę podzielić zdania, że, dla przywrócenia dawnej ilości zwierzyny w Polsce, należałoby zastosować środki tego rodzaju, jak „bezwzględne zabronienie polowań na większość zwierząt łownych na terenie całej Rzeczypospolitej conajmniej przez lat sześć" i w związku z tem „zupełne zawieszenie wydawania pozwoleń na polowania".

Rozumiem doskonale, że pogląd ten wypływa z głębokiej i szczerej troski o przyszłość naszego zwierzostanu, z miłości świata zwierzęcego, tak poważnej, że szanowny autor powyższych słów nie waha sie zrezygnować na długie lata z przyjemności polowania, byle przywrócone zostały dobre, normalne warunki rozwoju fauny krajowej.

Uchylając czoła przed owym tak wielkim, a tak rzadkim u nas niestety, dowodem prawdziwego oddania się sprawie łowieckiej — uważam jednak, że zastosowanie wymienionych wyżej środków nie doprowadzi do pożądanego celu.

Zanim przytoczę motywy, na których twierdzenie to opieram, chciałbym wyjaśnić przedewszystkiem *zasadniczy i główny cel ustawy łowieckiej.* A mianowicie:

Czy ma być ona *jedynie doraźnym środkiem*, zastosowanym wyłącznie do obecnego stanu rzeczy, czy też *stałym fundamentem* i kodeksem prawnym, obliczonym nie na najbliższy okres czasu, a na długi szereg lat?

Otóż, według mnie, bezwarunkowo tym ostatnim.

Podobnie, jak w zakresie ogólno-państwowym, prawodawstwo musi być stałe, t. j. musi obejmować możliwie długi okres czasu — ustawa łowiecka powinna również zawierać przepisy raz na zawsze przyjęte i obowiązujące w danym kraju.

Dopiero w miarę potrzeby mogą być zaprowadzone pewne, chwilowe (ogólne, lub dotyczące poszczególnych okręgów) zmiany—obostrzenia lub ustępstwa od praw zasadniczo uchwalonych.

Można to porównać z ogłoszeniem przez rząd stanu wojennego, t. j. z zarządzeniem czasowem, spowodowanem nagłą koniecznością, lecz stan taki nie może być przecież *podstawą* prawodawstwa.

To też zamiast powszechnego zakazu polowania na szereg lat i wydawania następnie, co pewien czas, zwolnień od owego zakazu odnośnie poszczególnych gatunków zwierzyny — prościej znacznie będzie wydawać w miarę potrzeby odpowiednie obostrzenia, których wprowadzenie i zniesienie nie zmieni zasadniczej treści ustawy łowieckiej.

System ten, uznany przez wszystkie państwa europejskie za właściwy był i jest powszechnie stosowany.

W Rosji, jak już wspominałem, polowanie na niektóre gatunki zwierzyny, jak np. łoś i (w pewnych guberniach) głuszec, są całkowicie zabronione. Mimo to jednak ogólna ustawa łowiecka zawiera najdokładniejsze terminy ochrony i polowania na ową zwierzynę, a zniesienie z czasem chwilowych obostrzeń wprowadzi automatycznie przepisy obowiązujące w normalnych warunkach i jako takie z góry przewidziane.

Wyrażając ten pogląd, daleki jestem od twierdzenia, że obostrzenia tego rodzaju nie są

obecnie potrzebne. Przeciwnie, zdaję sobie najdokładniej sprawę, że są (i to liczne, niestety) miejscowości, w których ongi bardzo pospolite gatunki zwierzyny, jak zając lub kuropatwa, są prawie doszczętnie wytępione. Rzecz jasna, że okręgi te wymagają przepisów nakazujących całkowitą i bezwzględną ochronę i jaknajtroskliwszą opiekę.

Na szczęście jednak, są jeszcze dzielnice w Polsce, gdzie podobne rygory nie są konieczne. Tak np. stan zajęcy w Wielkopolsce nie jest nawet w przybliżeniu tak opłakany, jak to ma miejsce w Kongresówce.

Tam, gdzie zwierzyna ta, dzięki racjonalnej hodowli rozmnaża się normalnie — polowania na nią są nietylko dopuszczalne, lecz wprost niezbędne — podczas, gdy u nas zabicie każdej zajęczycy jest stratą bardzo dotkliwą. Już sam fakt powyższy wskazuje, że uogólnianie podobnych ograniczeń polowania, t. j. rozszerzenie ich na całą Polskę, nie ma racji bytu i stosowanem być nie może *).

Co innego czasowe zabronienie polowań na dany rodzaj zwierzyny w poszczególnych okręgach. Jest ono koniecznym i nieodzownym środkiem, o którym twórcy projektu ustawy łowieckiej bynajmniej nie zapomnieli (patrz §§ 3 d. i 41) i który, miejmy nadzieję, będzie często i energicznie stosowany.

Również powszechne zaniechanie wydawania pozwoleń na prawo polowania uważam za niewłaściwe.

Należy tylko zwracać baczną uwagę, by ograniczyć ilość tych pozwoleń, udzielając ich jedynie myśliwym zasługującym wszechstronnie na to miano. Stale czuwać nad tem i nie dopuszczać do nadużyć w tym względzie — to pierwszy i główny obowiązek przyszłych Rad Łowieckich.

Nie należy zapominać, że o ile broń w ręku kłusownika lub co gorzej „myśliwego z żyłką" jest prawdziwą plagą, o tyle użycie tej samej broni przez myśliwego-hodowcę jest nieodzownym warunkiem lepszej przyszłości łowieckiej.

Mam na myśli nietylko tępienie szkodników, lecz również *racjonalny odstrzał* zwierzyny łownej, który, jak wiadomo, nie tylko nie tamuje jej przyrostu, lecz naodwrót znacznie takowy przyśpiesza.

A teraz kilka słów o poszczególnych punktach projektu ustawy.

Przedewszystkiem o organach wykonawczych. (Patrz §§ 3, 4 i 5).

Pierwszą instancją mają być starostwa przy pomocy powiatowych Rad Łowieckich.

Drugą, wyższą instancją to Inspekcje Łowieckie przy województwach, zaś „ogólny kierunek spraw łowieckich w całej Rzeczypospolitej Polskiej podlega kompetencji Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych" (§ 3).

Ujęcie w sposób powyższy administracji łowieckiej uważam za słuszne i właściwe, z pewnem jednakże zastrzeżeniem odnośnie najwyższej instancji, t. j. Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych.

Nie ulega kwestii, że łowiectwo, jako jedna z gałęzi gospodarstwa krajowego, podlegać winno opiece i kontroli Ministerstwa Rolnictwa. Ale „Ministerstwo" to pojęcie szerokie, nieosobowe. Kto mianowicie będzie przyjmować, rozpatrywać i odpowiadać na raporty inspektorów łowieckich? Kto będzie ich bezpośrednim zwierzchnikiem!

Czy, sądząc z treści §§ 40, 41, 42 i 50 projektu ustawy łowieckiej,—Minister Rolnictwa we własnej osobie?

Jeśli tak, to uważam, że popełniono tu kategoryczny błąd, który obniża wartość całej ustawy.

A to dlatego, że, jak już kilkakrotnie zaznaczałem, *na czele i u steru dziedziny łowieckiej stać musi koniecznie osoba kompetentna i gruntownie fachowa*, a więc myśliwy, któryby się całkowicie tej pracy poświęcił, bo jeśli mamy naprawdę coś pozytywnego przedsięwziąć, to pracy będzie wiele, dużo więcej, niżby się to mogło zdawać na pierwszy rzut oka.

Nie można przecież posuwać swego optymizmu (a raczej naiwności) tak daleko, by a priori wierzyć, że z tytułem Ministra Rolnictwa łączyć się będzie zawsze pojęcie najpoważniejszego i najwytrawniejszego myśliwego w Polsce! Nawet *wogóle* myśliwego.

A czy można ryzykować, by sprawy najważniejsze, bo mogące być rozstrzygnięte tylko w najwyższej instancji, — były powierzone, bezapelacyjnie powierzone, jednostce może najbardziej prawej, posiadającej najlepsze chęci, ale niedostatecznie kompetentnej? Czy warto stwarzać cały aparat wykonawczy łowiecki, Rady powiatowe, Inspekcje wojewódzkie, nie dając im równocześnie odpowiedniego fachowego, głównego kierownictwa?

Przypuśćmy nawet, że szczęśliwym trafem wszyscy nasi Ministrowie Rolnictwa będą jednocześnie pierwszymi myśliwymi w Polsce(!)— czy jednak i w danym wypadku może jeden człowiek podołać, powtarzam, wielkiej pracy w dziedzinie łowiectwa, w połączeniu ze stokrotnie większą wypływającą z innych działów danego Ministerstwa?

Nie łudźmy się, że łowiectwo w tych warunkach musi być i będzie zawsze zepchnięte na drugi, a nawet na trzeci lub dziesiąty plan i nie będzie to winą jednostki, a logicznym skutkiem wadliwego ustroju.

Czytający te słowa przypuszczają może, że bliski jestem domagania się osobnego „ministerstwa łowiectwa"?! Otóż podkreślam raz jeszcze, że (jak to wszędzie zresztą jest przyjęte) łowiectwo musi wchodzić w zakres Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych, lecz będąc samo przez się działem bardzo wielkim i bardzo poważnym, wymaga specjalnego kierownika w osobie ścisłego rzeczoznawcy.

Urzędnik ten (Łowczy, główny inspektor — mniejsza zresztą o tytuł) powinien być bezpo-

---

*) Co się tyczy nadzwyczaj rzadkich gatunków, jak żubry, kozice i t. p., to o całkowitej ich ochronie znajdujemy wyraźną wzmiankę w uwadze do § 39.

średnim zwierzchnikiem inspektorów wojewódzkich odbierać od nich raporty, kontrolować ich działalność, nakładać rezolucje — słowem powinien mieć powierzone decyzje, przewidziane w §§ 40, 41, 42 i 50 projektu ustawy łowieckiej— przedstawiając już opracowany i gotowy materjał do sankcji i aprobaty w formie podpisu Ministrowi Rolnictwa. Nie znaczy to, że Minister będzie jedynie automatycznie umieszczać swe nazwisko na danym dokumencie dla jego decorum i mocy—podobne postawienie kwestji będzie tylko ogromnem ułatwieniem w jego pracy, redukując takową do minimum czasu, dzięki fachowej pomocy ze strony powołanej na naczelne stanowisko w dziale łowiectwa jednostki*). Nie

Nie potrafię dość dobitnie podkreślić, jak wielką wagę przypisuję powyższemu ujęciu sprawy łowieckiej — sądzę jednak, żem kwestję tę oświetlił dostatecznie i przechodzę do następnego punktu projektu ustawy, którego pominąć milczeniem nie mogę.

Mam na myśli § 65, który głosi:

„Kwiczoły i paszkoty można łowić na sidła od 16 sierpnia do 28 lutego".

Paragraf ten uważam za *niedopuszczalny* w ustawie, jako wręcz szkodliwy.

Każdy chyba polski myśliwy wie, niestety, aż za dobrze, co to są sidła i sidlarstwo.

Nie potrzebuję więc o tem pisać, jak wielką plagą stało się ono dla naszej zwierzyny, lecz może nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak barbarzyńskim jest ów sposób „polowania", tak umiłowany przez panów kłusowników.

Nie darmo też słyną oni z okrucieństwa i z braku jakichkolwiek zasad etycznych.

Ale *myśliwemu* nie wolno być katem. Słusznie też w § 63 projektu ustawy wymieniono cały szereg istnych narzędzi tortur, których użycie w celu łowienia zwierzyny pożytecznej jest niedozwolonem. Jednakże przypadkowo czy też umyślnie (by móc zaraz niżej w § 65 przytoczyć je jako dozwolone!) pominięto w owym spisie — *sidła!*

Dlaczego niewolno zakładać wnyków — a sidła... albo wogóle, albo w każdym razie na kwiczoły i paszkoty wolno? Nie rozumiem też dlaczego drozdy mają być mniej godne litości od innych ptaków łownych? To jedno, a po drugie: czy możemy być pewni, że w sidła zastawione na kwiczoła nie złapie się kuropatwa, cietrzew, jarząbek? Czy nie utrudniamy sobie w ten sposób walki z kłusownictwem, z sidlarzami, którzy zawsze będą mieli (w terminie od 16/VIII do 28/II) furtkę do usprawiedliwienia się za pomocą paragrafu 65? Bo i faktycznie, cóż będzie winien nemrod nieszczęśliwy „polujący", zgodnie z przepisami ustawy łowieckiej, na drozdy, gdy mu się „przypadkiem" złapie zamiast paszkota jarząbek albo kuropatwa?

Kto tu więcej winien on czy ustawa? I jak tu kontrolować takie łowy?

Krócej mówiąc, paragraf 65 jest conajmniej zbyteczny. Właściwie zaś, wobec ogromu klęski, którą nam wyrządzają sidlarze, wobec niebywałego rozpowszechnienia tego barbarzyńskiego rodzaju kłusownictwa w Polsce, powinniśmy sidła absolutnie wyrugować i wykląć z pojęcia myślistwa. Nawet jako środek przeciwko szkodnikom nie mają one zastosowania, a kwiczoły, paszkoty... (jeśli nawet przypuścimy, że tylko te a nie inne ptaki złapiemy „na oczko") są przecież tak drobną „zwierzyną", że żaden szanujący się myśliwy nie zechce chyba kompromitować się podobnemi „łowami"!

Wszak nie wzorujemy się jeszcze, dzięki Bogu, na niektórych południowych nacjach, które z podziwienia godnym zapałem polują na skowronki z lusterkiem, lub łowią na sidła i sieciami rudziki, pliszki, muchołówki i t. p. przelotną zwierzynę.

Miejmy nadzieję że nie nastąpią dla nas nigdy czasy, w których jedynie takie „południowe" polowania będziemy mogli uprawiać; wierzmy natomiast, że zatwierdzenie projektu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego spowoduje i zapewni na długie lata prawidłowy rozwój zwierzostanu, którym szczyciła się niegdyś i szczycić się może będzie jeszcze Polska.

*Jan hr. Merstin.*

---

*) W Rosji sowieckiej przy komisarjacie rolnictwa w Moskwie dział łowiecki spoczywa *nawet nie w jednem ręku, a powierzony jest komisji złożonej z kilku osób*, pod nazwą: „Prezydjum Wszechrosyjskiego Związku Myśliwych", którego przewodniczącym (i prezesem związku) jest znany powszechnie myśliwy p. Buturlin. Uchwały tej komisji podlegają oczywiście sankcji ludowego Komisarza Rolnictwa).

# Wpływ łowiectwa na wyżywienie ludności.

Od lat kilku zwrócić musiał uwagę każdego, nawet nie myśliwego, brak lub tylko mała podaż zwierzyny we wszystkich handlach i miejscach sprzedaży artykułów spożywczych. Odczuwa to nietylko zwolennik polowania, ale przedewszystkiem amator, smakosz zwierzyny, a po za nim najszerszy ogół konsumentów mięsa. Jedni i drudzy z westchnieniem przypominają sobie czasy, gdzie przed składami delikatesów wisiały snopy bażantów i kuropatw, rzędy zajęcy i królików a odrzwia wchodowe przystrajano „martwą naturą" wiszących sarn, jeleni i dzików.

Wszystko to należy dzisiaj do przeszłości, — nawet podczas najwyższego sezonu wyjątkowo tylko spotkać można zwierzynę w oknie wystawowym, — a ów niegdyś tak pogardzany królik, należy dziś do osobliwości na stole obywatelskim.

Pochody wojenne armij całych, w ofensywie i rejteradzie, jakoby wielkie obławy, klęska i rewolucja, ogół a maruderja armij rozbitych, broń pozostała w ręku tejże, zły doradca, głód, ekstrakt wszystkich tych wydarzeń: kłusownictwo,—a w uzupełnieniu nieszczęścia narówni z ludzkością trapiące wszelką zwierzynę epidemje, przyczyniły się do katastrofalnego położenia kwitnącego dawniej u nas łowiectwa.

Inwentarz domowy, który wyniszczyły rekwizycje nieprzyjacielskie można podnieść w czasie krótkim, ale do podniesienia stanu zwierzyny trzeba wiele lat i zachodu, a przedewszystkiem świadomości jakim zwierzyna jest środkiem pomocniczym w wyżywieniu ludzkości, aby przyszło dla niej zrozumienie wśród tych warstw, które ją dotąd uważały jako środek rozrywki, częściowo nawet jako malum necessarium.

Ta niechęć do zwierzyny, której obfitość przed wojną była tak wielką, iż wpływała na targi najważniejszych środowisk bydła rzezalnego, dzisiaj dopiero przy prawie zupełnym braku dowozu, daje poznać, jaki zwierzyna wpływ miała, a w obecnych powojennych czasach, mieć by mogła na cenę mięsa.

Aby to zrozumieć trzeba się zapoznać ze statystyką przedwojenną trzech państw zaborczych, pod których władzą Polska się znajdowała.

Nie mogę tutaj w krótkim artykule wymieniać cyfr opartych na Ehebergu (Rosja) dr. Rörigu (Niemcy) i d. H. Forcher (Austrja), — bliżej interesowanego czytelnika odsyłam do książki pp. F. Różyńskiego i dr. E. Schachtel p. t. „Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju", — tutaj tylko pragnąłbym posługując się powyższemi źródłami wykazać wpływ jaki ma łowiectwo u nas na wyżywienie ludności.

Dla zrozumienia przedstawiam tablicę ułożoną i zestawioną ze statystyk państw zaborczych, a według której możnaby bez szkody dla rolnictwa i kultur leśnych wyprodukować i dostarczyć zwierzynę w obecnych granicach Polski dla konsumenta.

| GATUNEK | Na 1000 hek, można od strzelić sztuk: | W całej Polsce przy 395.000.000 h. sztuk: | Ilość mięsa w kilogramach: Waga sztuk. | Łącznie |
|---|---|---|---|---|
| Jelenie | 0.60 | 19.254 | 100 | 1.925.400 |
| Daniele | 1.00 | 39.500 | 60 | 2.370.000 |
| Dziki | 0.30 | 11.850 | 60 | 711.000 |
| Sarny | 25.00 | 987.500 | 15 | 14.812.500 |
| Zające | 160.00 | 6.320.000 | 3 | 18.960.000 |
| Króliki | 10.00 | 395.000 | 1.5 | 5.925.000 |
| Kuropatwy | 175.00 | 912.500 | 0.4 | 2.765.000 |
| Bażanty | 30.00 | 185.000 | 1.0 | 1.185.000 |
| Cietrzewie | 3.00 | 118.500 | 1.0 | 118.500 |
| Jarząbki | 1.00 | 39.500 | 0.3 | 11.850 |
| Kaczki | 20.00 | 790.000 | 1.0 | 790.000 |
| Gęsi | 0.10 | 3.950 | 3.0 | 11.850 |
| Przepiórki | 10.00 | 395.000 | 0.2 | 79.000 |
| Słonki | 2.00 | 39.500 | 0.25 | 9.875 |

Razem kilgr. 49.674.975.

Zwierzyny 49,676,975 kgr. daje przy 25 milj. ludności Polski 1.98 kgr. mięsa rocznie na głowę. Ilość taka zdawać się może niejednemu znikomą, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę ogólną ilość konsumcji, to drobna ta cyfra odrazu wyolbrzymieje. Eheberg szacował spożycie mięsa w Rosji przed wojną na 20 kgr. rocznie na głowę. Ludność rolnicza i włościańska a taką jest przeważnie ludność Rzeczypospolitej, spożywa według dr. Peltyna tylko 16 kgr., według dr. Karzkowskiego nawet tylko 19.235 kgr. na osobę. Jeżeli więc weźmiemy i dla Polski przez niemców szacowaną liczbę 20 kgr. na głowę, to wykazuje, iż produkcja mięsa z należycie rozwiniętego łowiectwa, jako ubocznej i bez żadnego prawie zachodu hodowli z gospodarstwa rolnego

i leśnego jest ogromna. Czyni to bowiem 10 do 15 proc. ogólnej konsumcji mięsa.

W rozprawie na ostatnim Sejmiku Polskiego Związku Myśliwych pod tytułem: „Czy łowiectwo jest sportem" wykazałem ogólne korzyści jakie łowiectwo przynosi krajowi pod względem sztuki i kultury, a pod względem materjalnym, według dzisiejszego stanu waluty oszacowałem takowe na wiele set miljardów marek rocznie. Jeżeli zaś dzisiaj poruszam specjalnie sprawę mięsa tylko, to dzieje się to, iż może kwestja żołądka tak ważna przy stole wielkanocnym prędzej przemówi do przekonania, jak wszelkie inne rozumowania i jak wszystkie inne względy etyki i estetyki.

A więc przedewszystkiem, gdyby rocznie na głowę mięsa było 2 kgr. ze zwierzyny więcej, byłaby i święconka lepszą i obfitszą, bo byłaby tańszą.

Środkami odpowiedniemi do podniesienia łowiectwa jest uznanie jego doniosłości i wzięcia go pod opiekę całego społeczeństwa. A mianowicie:

*Sejm*: przez stworzenie izby rolniczej, przez spieszne nadanie jednolitego prawodawstwa łowieckiego, z odpowiednią autonomią dla poszczególnych województw, posiadających odrębne klimatyczne i kulturalne właściwości.

*Władza*: przez energiczne ściganie kłusownictwa, przez przezorne i sumienne udzielanie pozwoleń na dzierżawienie polowań, na noszenie broni i kart myśliwskich.

*Pisma ludowe*: przez uświadomienie doniosłości ekonomicznej łowiectwa, iż takowe to nie pański sport tylko, ale podobnie dawnemu hasłu proletarjusza rzymskiego daje jednocześnie panem et circenses: t. j. jednym „chleb", a drugim „igrzyska".

*Nauczyciele szkół powszechnych* przez pouczanie i wzbudzanie w dziatwie zamiłowania do przyrody i do ochrony gniazd ptaków pożytecznych.

Reszta inteligentnego społeczeństwa przez zakładanie towarzystw prawidłowego myśliwstwa lub do łączenia się do istniejących, na których czele stoi tak chlubie na całą Polskę działający Polski Związek Myśliwych i przez popieranie trzech pism łowieckich, dwuch miesięczników i jednego dwutygodnika. Wszystkie trzy wychodzą jako nieilustrowane i utrzymują się dla braku dostatecznego poparcia jedynie dzięki subwencji i pracy bezinteresownej kilku zwolenników łowiectwa.

Niechaj tych kilka słów rozpamiętania, które tutaj skreśliłem dla miłości łowiectwa podczas wielkiego tygodnia, w czasie rachunków sumienia w czasie skruchy i żalu wezmą sobie pod rozwagę ci wszyscy, którzy grzeszyli lub grzeszą przeciwko prawidłowemu łowiectwu i ci, którzy dla niego są obojętni i wrodzy.

*Wł. Jania Polczyński.*

---

# Mój pierwszy zając.

## (Ze wspomnień starego myśliwego)

Było to dawno, oj bardzo dawno!... bo w 1883 roku, akurat czterdzieści lat temu, kiedy to pod „rozumnemi" rządami Hurki i „prawowiernym" systemem Apuchtina, ogłupiano nas w rządowych szkołach, uczono historji z Iłowajskiego i przekonywano niezbicie, że zwycięstwo pod Wiedniem w obecności króla polskiego, zdobyły ruskie, grodzieńskie pułki konnicy, i—że najsławniejszy ówczesny malarz krakowski zwie się Iwan Matwiejko i jest ruskiego pochodzenia...

Byłem wtedy w 4-ej klasie i na święta Bożego Narodzenia pojechałem z rodzicami i młodszem rodzeństwem do szwagra mego w Podlaskie, gdzie zaraz po Nowym Roku zapowiedziane było doroczne polowanie na dziki, kozły i zające, na które i ja zostałem zaproszony oficjalnie, — po raz pierwszy w mem życiu dopuszczony do zaszczytu wzięcia udziału w poważnych, stylowych łowach, wraz z pierwszorzędnymi nemrodami w kraju.

Radość moja nie miała granic. Gorączkowo oczekiwałem owego dnia, ażeby nie skompromitować się wobec tak sławnych gości. — Codzień po parę godzin wprawiałem się w strzelanie pod kierunkiem i wskazówkami zacnego starego leśnika Tchórzewskiego, który kazał mi strzelać do toczących się po ziemi, o 50 kroków odemnie, drewnianych krążków, „na rachowanie" jak mawiał, gdyż zasadą jego było, aby nie strzelać „na gwałt, na warjata", a „na oddech i rachowanie" t. j. „gdy panicz zobaczy szaraka, to zaraz się złożyć, a jak wymiarkuje, że można do niego strzelać, to ino se głęboko odetchnąc i rachować pomalutku: raz... dwa... trzy, nie dalej jak do pięciu i dopiro golić dokumentnie, jak wypadnie, albo na włos przed przednie skoki, jeżeli idzie na sztych, albo pół cala przed wąsami, jak pomyka bokiem, albo między uszy, gdy zadkiem fajta na myśliwego. — Ino zawsze na rachunek, to strzał pewny".

Co prawda, do zajęcy strzelałem już w życiu kilka razy, ale zawsze pudłowałem, bo i to strzelanie było przeważnie przygodne, bowiem dotąd na żadnem specjalnem polowaniu na zające nie byłem; a jeżeli spotkałem się z niemi okazyjnie, chodząc z moją ptaszniczką na jastrzębie, wrony, a nawet na wróble, to też gdy błądziłem wzrokiem po gałęziach drzew, po dachach stodół i stert, lub po tykach stogów, a z pod nóg prawie pomknął mi się szarak, zanim go spostrzegłem, złożyłem się i strzeliłem, już był daleko odemnie, nic sobie nie robiąc z cienkiego śrótu, którym ptactwo uśmiercałem.

Na tem polowaniu miałem wypróbować prawdziwą fuzję, którą dostałem w prezencie od szwagra na gwiazdkę, śliczne cacko, choque, 20 kalibru, o paryskich lufach Le Faure'a. — Strzelba rozebrana, złożona była w eleganckiem pudełku-futerale, w którym znajdowały się również różne szczegóły służące do jej czyszczenia, jak rówież wszelkie przyrządy do robienia sobie naboi. Kiedy z rozrzewnieniem oglądałem ten drogocenny podarek, naraz spostrzegłem przypiętą do zewnetrznej ścianki pudełka kopertę, zaadresowaną do mnie. Sądząc, że to jest dedykcja prezentu, nie spieszyłem się z odczytaniem zawartości, ale na ierany przez mego brata, otworzyłem kopertę i znalazłem w niej ni mniej ni więcej, tylko drukowane, oficjalne zaproszenie na nadchodzące właśnie polowanie. Co to była za radość, co to była za radość!...

Powiedziałem wyżej, że po raz pierwszy w życiu miałem brać udział w „stylowych" łowach, bo też przyznać należy, że polowania u szwagra mego, pozatem, że znane były z wielkiej ilości zwierzyny, w owych czasach były ostatniem słowem sprawności, porządku i elegancji, co jedni nazywali „first classe", a inni „tip top". Bo i prawda.

Punkt o wpół do ósmej rano, silny gong zapowiadał gościom, że śniadanie w jadalni czeka. Gdy się wszyscy zgromadzili u stołu, a zazwyczaj tylko 14 strzelb brało udział w łowach, nadleśny p. Kaczmarczyk, ślązak, roznosił wśród myśliwych numerki do ciągnienia, od 1 do 14.—Kto wyciągnął jaki numerek, dostawał odpowiedni karnecik z ołówkiem wielkości zwykłej pocztówki o 4-ch stronicach. Na pierwszej u góry figurował numer, pod nim ładny rysunek jakiejś sceny myśliwskiej, niżej napis: „polowanie w B......... na dziki, kozły i zające", oraz data. Na drugiej stronie była narysowana mapka lasów, wszystkie 10 miotów i oznaczone w każdym z nich stanowisko danego Nr. Z czerwonemi strzałkami, wskazującemi z której strony idzie naganka i w którą stronę po miocie mają się myśliwi kierować. — Poniżej mapki były objaśnienia co do porządku stanowiska danego Nr. w każdym miocie i porządek wszystkich stanowisk. Na trzeciej stronie regestr gatunków różnej zwierzyny, w którym każdy sobie odnotowywał sztuki zabite na każdem stanowisku, a obok 2 rubryki, strzały „celne" i „pudła". Na ostatniej zaś stronie wydrukowanych było dwanaście punktów prawideł i przepisów dla myśliwego, a mianowicie:

1 Przy jeździe do lasu i wyjeździe z niego, jak również przy zejściu ze stanowiska, ładunki mają być wyjmowane z broni, — kurki opuszczone—strzelba na ramieniu,—lufa do góry;

2 Przy jeździe na stanowiska, głośno rozmawiać nie wolno.

3. Na stanowisku palenie tytoniu, wzbronione.

4. Strzelać w boki przed siebie i za siebie pod kątem mniej 45%, nie wolno.

5. Po potrójnym hejnale trąbki, strzelać przed siebie zabrania się, — wolno tylko za linję.

6. Gdy naganka stanie przed myśliwymi, wyjąć natychmiast ładunki.

7. Do kóz strzelać zabrania się.

8. Gdy miot skończony, strzelać do celu, lub do ptaków, zabrania się,

9. W pierwszym miocie, pierwszy strzał może być tylko do lisa lub do dzika.

10. Przed skończeniem miotu, schodzić ze stanowiska, zabrania się.

11. Uprasza się o nieprzeciąganie śniadania nad pół godziny,

12. Uprasza się o niedawanie żadnych napiwków służbie leśnej.

*Uwaga 1.* Nie stosujący się do przepisów pkt. 1-4-5-7-10 podlegają karze po rb. 25. Nie stosujący się do przepisów pkt. 2-3-8-9 podlegają karze po rb. 10. Nie stosujący się do przepisów pkt. 6, będzie zmuszony opuścić las.

*Uwaga 2.* Za każde pudło myśliwy płaci tytułem kary po rb. 5.

*Uwaga 3.* Pieniądze zebrane z kar powyższych idą na wpisy dla niezamożnych uczni.

Po skończonem polowaniu, każdy z myśliwych obowiązany zwrócić swój karnecik p. Kaczmarczykowi, który na wieczornej strece (przegląd ubitej zwierzyny) odczyta je w oficjalnym raporcie i ogłosi króla polowania.

Po wręczeniu karnecików, p. Nadleśny z powagą odczytuje prawidła i przepisy, a raz jeszcze podkreślając punkty 1-7-9, zawiadamia, że czeka panów myśliwych przy wjeździe do lasu, punktualnie dziesięć minut do wpół do dziewiątej.

Śniadanie kończy się w ożywieniu i wesołości. Myśliwi „parują się",—t. j. po dwóch siadają do jednych sań, i cały dzień muszą już razem pilnować się numeru swojego automedona. W gong biją trzy silne uderzenia, i zaraz po ósmej, siedem wehikułów uwozi myśliwych z ich strzelcami do lasu, gdzie natychmiast po przyjeździe p. Nadleśny, jadąc przodem na linję, wywołuje numer każdego myśliwego przed stanowiskiem, na którym znajduje się pleciony półkoszyczek półtorałokciowej wysokości, wygięty ku miotowi; w środku koszyczka palik z numerem, na ziemi odgarnięty śnieg i garść słomy pod stopy, w otwartej zaś części koszyczka, rodzaj taboretu do siedzenia; a przed nim podwójne widełki, do położenia zapasowej broni,

Po ustawieniu ostatniego gościa, p. Kaczmarczyk daje hasło na swym rożku i wnet odzywają się gdzieś, hen, dwa rogi myśliwskie i trąbka — a tuż za nimi gwar i nawoływania, huczki.

Tego dnia, o którym wspominam, czas na polowanie był idealny. Wigilję dnia, do późna wieczora, padał obfity, spokojny śnieg, na noc wziął silny mróz, — niebo wyiskrzyło się gwiazdami, a od wczesnego ranka zimowe słonko wypłynęło na niebo, pozbawione najmniejszej chmurki.

Las przedstawiał się fantastycznie. Suchy, puszysty śnieg przykrył gęstą warstwą wszystkie gałęzie, które pod jego ciężarem obwisły ku ziemi, gdzieniegdzie dotykając jej swemi końcami i tworząc tym sposobem jakieś korytarze, dukty, aleje, altany białego olbrzymiego labiryntu. Tę niesamowitość widoku podnosiła jeszcze bezmierna cisza leśna i te głuche przytłumiane dźwięki głosów i mowy ludzkiej, wskutek ogromu nagromadzonego śniegu. Zdawało się, że się wjeżdża w krainę zaczarowanego, zamarłego świata, w którym nie ma żadnego życia, chyba tylko duchy leśnych, zimowych bogów.

Tymczasem im dalej wjeżdżało się w las, tem gęściej można było zauważyć ślady różnej zwierzyny przechodzącej przez linję. Oto „sznurek" chytrej liszki, która pragnęła swą „kitą" ślady własne zagarnąć, — tu znowu owa „pętla" zajęcza, znacząca się wyraźnie w głębokim śniegu, a tam ot, energicznie rozrzucone ślady „racic" równolegle trzech sztuk, widocznie „wycinki" z maciorką baraszkowały po białym śniegu. Ilość widzianych śladów zapowiadała łowy obfite, tembardziej, że wczorajszy śnieg a dzisiejszy mróz i pogoda, upewniały, że wszystka zwierzyna jest w lesie.

Stanęliśmy na stanowiskach. Ja dostałem r. 5, z lewej strony najlepszego strzelca w Polsce, hr. Z..., z prawej zaś niegorszego zupełnie p. S., znanego konkursistę z „tir aux pigeons" na Cap Martin, Każdy z tych panów miał swego strzelca, który mu nabijał i podawał broń zapasową. Znajdowałem się zatem na oczach czterech osób, przed któremi miałem zdawać egzamin na myśliwego.

Nabiłem swoją fuzję, siadłem na słupku, flintę położyłem na kolanach, prawą rękę wsunąłem za futerko na piersiach, aby mi palce nie skostniały, lewą wsadziłem w kieszeń i czekałem pierwszego strzału. Naganka już ruszyła. Minęło z pięć minut, strzału nie słychać, a w międzyczasie spostrzegłem już trzy zające w oddali, buchające po śniegu, wzdłuż linji, jeden szedł do mnie prosto na sztych, więc chwyciłem broń i chciałem, tak dla próby, zmierzyć się do niego, — widocznie usłyszał, a może zobaczył mnie i... stanął słupka o jakie czterdzieści kroków. Zmierzyłem do niego prosto w piersi, lecz tej samej chwili dał sprinca w bok i galopem przeskoczył koło mnie za linię o jakie 10 kroków. Drugi znów z prawej strony przeszedł linję. Widok ten podniecił mnie trochę i zapomniałem na razie o swej roli „oficjalnego nemroda" i o konieczności spokojnego zachowania się.

Wtem gdzieś na prawem skrzydle padł strzał jeden, a po nim zaraz dwa równocześnie; spojrzałem po miocie i po moich sąsiadach. Obydwaj podnieśli się z siedzenia, wzięli broń w obie ręce, trzymając ją w pogotowiu. Ustawiłem się naśladowniczo w tej samej pozycji. Strzały rozlegały się gęściej i coraz bliżej, nareszcie jakby naraz obaj moi sąsiedzi strzelili, ale nie widziałem w którym kierunku i do czego. Serce poczęło mi bić silnie, wytrzeszczyłem oczy w miot i widzę w grupce trzy zające idące na mnie, lecz na jakie sto kroków, wskutek bliskiego strzału, grupka moja rozbiła się, dwa zające zawróciły z powrotem, a ten trzeci bieży ukośnie na lewo odemnie. Składam się, chcąc go wziąć na muszkę, ale z silnej emocji broń drga mi w ręku, przyciskam ją więc silniej lewą ręką do ramienia. Wtem huknął strzał, i zając w koziołku pada na miejscu. Sąsiad z lewa strzelił go na z górą 100 kroków. Wracam okiem w miot i widzę dwa pędzące szaraki, które w równej odległości między mną a prawym sąsiadem wybierają się za linję. Zapominam o „oddechu i rachowaniu", zmierzam się do nich, „muszka" mi lata po śniegu, zające się zbliżają, widzę jak mój prawy sąsiad także się do nich zmierza; bierze mnie zazdrość, pociągam cyngiel jeden i drugi, — patrzę, zające zdrowe dopadają linji z zamiarem stanowczej ucieczki, gdy padają dwa szybkie po sobie strzały i zające na kraju miotu po za nami, giną w ślicznym dublecie. Zrozumiałem że, sąsiad dał mi wystrzelić, aby poprawić, o ile sfuszeruję, — i rzeczywiście poprawił, a ja czułem, że mi krew podeszła do głowy, i zrobiło mi się wstyd za takie podłe pudło, lecz zacny sąsiad chcąc mi dodać kurażu, rzucił głośno w moją stronę: „za gorąco". Wówczas przypomniałem sobie: „paniczu nie strzelać na gwałt, na warjata, a na oddech i rachowanie", i postanowiłem stanowczo oddychać i rachować, co rozpocząłem zaraz, po głębokiem westchnieniu, licząc powoli, raz — dwa — trzy — cztery — pięć...

Naganka podchodziła coraz bliżej, strzały rozlegały się jak rotowy ogień, sąsiedzi moi strzelali też gęsto, a na mnie nie wychodził żaden zając jak na złość, — i gdy wypatruję go uporczywie, słyszę z prawa i lewa rozlegające się krótkie, półgłośne: „pilnuj".

*Jan Stefan Wydżga.*

(D. c. n.)

# Z DZIKICH PÓL.

## 2. Polowanie z łodzi.

Po przelocie rannym, który ze wschodem słońca kończy się zazwyczaj, następuje jakby cisza i przerwa w ruchu ponad jeziorami. Myśliwi, uwalniając swe łodzie z uwięzi w trzcinach, wysuwają się jeden za drugim z zarośli, zmierzając do brzegu, gdzie można byłoby wyjść z łodzi na ląd, aby dać możność trochę psom przelecieć się i rozgrzać po rannej wczesnej kąpieli, samym zaś naradzić się między sobą, jaki program dnia ułożyć, na jakie udać się jeziora, gdzie się spotkać i t. d. Po krótkiej naradzie i zakąsce, siadamy do łodzi i udajemy się na te jeziora, na których, po przelotach rannych kaczki najwięcej zapadały. Są to przeważnie jeziora płytkie, zarośnięte rzadką, niską i nikłą trzciną i tylko gdzieniegdzie widnieją większe lub mniejsze kępy wysokich gęstych ciemnozielonych trzcin lub też tataraków rosnących na „materacach", niby wyspy w morzu, rozrzucone pośród wód olbrzymich jezior. Woda jezior tych, chociaż płytkich i o dnach przeważnie mułowatych, jest nadzwyczaj czysta, tak czysta, że z łodzi doskonale widać wszystkie obficie na dnie rosnące przeróżne wodorosty i rybki uwijające się wśród masy ich krzaczastych rozgałęzień i stanowiące główne pożywienie dla żarłocznych kaczek. Zdarzało mi się kilkakrotnie widzieć, jak głęboko pod wodą nurkuje postrzelona cyranka lub łyżkodziób, pomagając sobie skrzydłami, niby w locie powietrznym, pruć fale wody.

Polowania z łodzi na kaczki „z porywu" należą do bardzo miłych, potrzeba jednakże do tego odpowiednich warunków, jakiemi są: 1) dobry wprawny przewoźnik i 2) odpowiednia łódź. To też do przewoźnika i do łodzi powinien być myśliwy przyzwyczajony nie mniej, niż do swej broni. Będzie to rzeczą bardzo zrozumiałą, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że, aby osiągnąć dobre rezultaty, myśliwy powinien w łodzi stać, a nie siedzieć. Jest przeto bardzo ważną rzeczą, aby przewodnik prowadził łódź, jak można najrówniej, by szybkość łodzi była możliwie jednostajną i by odepchnięcie wiosła nie wywoływało targania łodzi, co uniemożliwiłoby utrzymanie się na nogach myśliwemu. Oprócz tego przewoźnik powinien doskonale znać dno i charakter wodorostów jeziora, aby wiedzieć, jak w zależności od tych czynników łódź należycie prowadzić. Przyznać muszę, że miejscowi przewoźnicy, rekrutujący się z mieszkańców wsi przyjeziorowych, znając wspaniale najdrobniejsze szczegóły, dotyczące dziedziny tej jeziorowej „Oceanografji", wywiązują się ze swego zadania doskonale. Potomkowie wolnych Zaporożców, w żyłach których płynie krew tych, co na „Czajkach" przez Dnieprowskie porohy, jeździli po zdobycz pod Carogród są z natury w duszy wspaniałymi i zapalonymi myśliwymi i jako takowi rozumieją doskonale, co się od nich wymaga, aby rezultat polowania był jaknajlepszy. Każdy z nas myśliwych miał swego ulubionego Archipa, Mykołkę lub Hfedję i z nim stale na jeziorach czas spędzał: o ile taki stały przewoźnik wskutek choroby lub jakiejś pracy pilnej nie mógł jechać, to można było być pewnym, że z innym przewoźnikiem już będzie polowanie gorsze. Przewoźnicy odznaczali się tak wspaniałym wzrokiem, że spostrzegali zwierzynę nawet w czasie zmierzchu na bardzo daleki dystans, oprócz tego posiadali zazwyczaj zdolność orjentowania się, gdzie kaczka zapadła, chociażby na bardzo dalekiej od łodzi przestrzeni, co przy zupełnie jednostajnym krajobrazie jeziora jest rzeczą nadzwyczaj trudną. Hfjedia, mój ulubiony przewoźnik, chłopak lat dziewiętnastu, był tak zapalonym myśliwym, że każde „pudło" moje odczuwał boleśniej odemnie samego. Bo rzeczywiście przy jego pomocy na polowaniu z porywu pudłować było trudno. Zauważywszy zupełnie dokładnie w jakiem miejscu jeziora stadko lub pojedyńcza sztuka zapadła, prowadził łódź tak spokojnie i równo, że stojąc w łodzi miałem nieraz wrażenie, jakby łódź była nieruchomą i tylko cała toń jeziora wraz z trzcinami przesuwała się koło niej. Podjeżdżając do miejsca skąd mogły zerwać się kaczki jednem słowem „zaraz" wypowiedzianem szeptem ostrzegał, żeby się do strzału przygotować, a podwoził zawsze tak, żeby kaczka porwała się z lewej strony łodzi lub wprost przed łodzią. Oczywista rzecz, że w takich warunkach trudno było pudłować. A ile to razy ten chłopak późną jesienią do lodowatej wody, do której pies nieraz iść nie chciał, szedł, aby wyciągnąć z miejsca, gdzie nie można dojechać łodzią, zabitą krzyżówkę lub cyrankę, a gdym go nieraz nie puszczał z łódki, to mówił mi z najlepszą miną, „aby tilki pisla czaroczka, to wse bude u poriadki." Naturalnie ta „czaroczka" zawsze się znajdowała. Nie mogę powiedzieć, aby takie polowanie z łódki należało do polowań łatwych, gdyż wymaga ono dużej wprawy od myśliwego trzymania się na nogach mocno w łodzi i jeżeli tej wprawy myśliwy nie posiada, to łatwo może wpaść do łodzi lub co jeszcze gorzej i niebezpieczniej wpaść do wody; szczególniej łatwo może się to zdarzyć, gdy strzał nagły wypadnie ze strony prawej. Dość niezręcznego obrotu przy raptownym niespodziewanym porywie zwierzyny, aby nieprawny myśliwiec udawał szczupaka uzbrojonego w dubeltówkę. Takich wypadków mieliśmy sporo, a kolega B. jednego dnia 2 razy kąpał się w końcu października w lodowatej wodzie.

Aby zabezpieczyć się od podobnych dość niemiłych kąpieli należy zawsze stać zwróconym nie wprost dzioba łodzi lecz trochę wprawo, ma-

jąc lewą nogę wysuniętą nieco wprzód; w takiej pozycji łatwo jest składać się tak ku prawej, jak i ku lewej stronie.

Przy polowaniu z łodzi trzeba być bardzo uważnym, aby zamiast dzikiej nie zabić kaczki swojskiej. Ta uwaga wyda się zapewne każdemu myśliwemu dość dziwną, a może nawet śmieszną, lecz kto z szanownych kolegów polował w tamtych warunkach, ten dziwić się nie będzie. Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że mieszkańcy wsi, położonych wśród jezior, chcąc jak najtaniej kaczki wyhodować, nie karmią ich zupełnie w domu, po wylęgniu się kacząt każda gospodyni znaczy swoje i wypędza je na jezioro, gdzie muszą sobie same wyszukiwać pożywienie, aż do późnej jesieni. Kaczki te chociaż swojskie są jednak nawpół dzikie i przed zbliżającą się łodzią chowają się w gęstą trawę lub tatarak, a czasem jesienią już starają się poderwać niby dzikie. Naturalnie, że wprawny myśliwy odrazu odróżni je od dzikich, lecz bywały wypadki, że postrzelona krzyżówka spadła blisko swojskich, goniący łodzią za postrzałkiem myśliwy łatwo może przyjąć trzepocącą się w zaroślach swojską kaczkę za postrzałka i wali do niej zadowolony, że postrzałek nie zginie. Takie wypadki bywały dość często i zdarzały się najwytrawniejszym myśliwym, szczególniej o zmierzchu, podczas wieczorowego przelotu, który czasem zaczynał się już przy gęstym zapadającym zmroku.

Należy pamiętać też o tem, że polując z łodzi pomiędzy szuwarami nie można strzelać na dalszą odległość na wodę, (np. do siedzącej kaczki, gdyż rykoszetujące śróciny mogą łatwo zahaczyć któregoś z myśliwych niewidocznych z poza trzcin lub tatarsków; również przy porwaniu się kaczek trzeba wypuścić je wyżej, aby kierunek strzału nie był poziomy lub zniżający się. Byłem świadkiem, jak jeden z myśliwych (naturalnie nie z naszego kółeczka) dobijając trzepoczącą się na gładkiej czystej wodzie postrzeloną krzyżówkę, uczęstował rykoszetem mego przyjaciela T. śrócinami w twarz, a przeciwnikowi jego przestrzelił ucho, naturalnie przy okazji dostało się i „Worciowi" siedzącemu na dziobie łodzi, w chwili, gdy miał już skoczyć po „apporte". Polując na jednem jeziorze, choćby największem z łodzi w kilka strzelb, należy być nadzwyczaj uważnym i strzelać z zimną krwią, mając zawsze w pamięci, że ktoś z kolegów może znadować się bardzo blisko i tylko dzięki szuwarom nie jest widoczny.

Polowanie na wodne i błotne ptactwo należy do najprzyjemniejszych odmian polowania. Zrana przelot wśród najcudniejszych przejawów budzącej się natury, rozległych jezior, potem w ciągu dnia polowanie z łodzi „na podrywkę" i nakoniec przelot wieczorowy zapełnia całkowicie myśliwemu cały długi dzień letni lub jesienny.

Oczywiście, że cały dzień wystać w łodzi byłoby za ciężko dla myśliwego, jak również i dla przewoźnika, to też na godziny południowe zazwyczaj wylądowywaliśmy na brzeg, aby dać wypoczynek przewoźnikowi; tymczasem wyruszaliśmy z psami na błotniste łąki i przesmyki pomiędzy jeziorami „na bekasa", który jak wiadomo najlepiej dosiaduje w południe, kiedy słonko mocno przygrzewa. Tu dopiero prawdziwie sportowe polowanie się zaczyna. Strzały trudne i po większej części dalekie, utrudnione jeszcze tem, że często trzeba brnąć w błotku po kolana i wyżej, gdyż w takich błotnistych miejscach zawsze najchętniej przebywają kszyki.

*Inż. Zygmunt Zakrzewski.*

C. d. n.

---

# Smutny koniec zwierzyny na Podolu.

W 4-ym numerze „Przeglądu Myśliwskiego" w artykule hr. Morstina znajduje się wzmianka o wydaniu w Rosji ustawy łowieckiej. Prawdopodobnie ustawa ta została wydaną tylko dla Rosji właściwej, gdyż kiedy wyjeżdżałem z Podola w 1921 r. jeszcze tam o niej słychać nie było,—a wielka to szkoda, ponieważ okolice Hajsyna, w których mieszkałem, miały duże, jak na Podole kawały lasu, często po 500, do 2000 morgów liczące. Niewielka część tych lasów należała do rządu, a większa do obywateli Polaków, którzy w ostatnim mniej więcej dziesięcioleciu przedwojennym okresie doprowadzili w swych majątkach do bardzo wysokiej kultury gospodarstwo rolne i leśne, w zakres którego wchodził i zwierzostan stanowiący nieraz poważną cyfrę w dochodzie na wzór zachodnio-europejski.

W lasach hr. Potockiego (Teplicka Ordynacja) i Sobańskiego p. p. Jaroszyńskich i Lipkowskich, na polowaniach z naganką padało w jednym dniu po 200, 500 i więcej sztuk zajęcy; hodowla bażantów też zaczęła się rozwijać, a sarny, najbardziej ochraniane, tak się rozmnożyły, że spotykało się stadka całe po kilkanaście sztuk

liczące. Szkodników tępiono wszelkimi sposobami—tak że wilk należał do rzadkości, a i z lisem nie często można było się spotkać.

Największą plagą w zwierzostanie byli liczni kłusownicy, z którymi walka była trudniejszą, ponieważ nie było tam jak w Rosji i Polsce związków myśliwskich, dających wielką pomoc w tej walce, a straż leśna chociaż starannie, zwykle ze zdemobilizowanych żołnierzy dobierana, najczęściej nie odpowiadała należycie swemu zadaniu,— gdyż będąc rekrutowaną z miejscowych włościan, często nie ujawniała schwytanego na gorącym uczynku kłusownika, bojąc się zemsty, w sposobach dokonania której nie przebierali.

A taki myśliwy „cichołaz" szedł w nocy pod las obywatelski na „zasidku" i okryty białą płachtą, z iście chłopską wytrwałością i cierpliwością, nieraz w trzaskający mróz przesiadywał calutką noc przy udeptanej przez zwierzynę ścieżce, oczekując na sarny, i jeśli te *dobrze się ustawiły*, często dwie za jednym strzałem zabijał.

Bolączka ta jednak przy pomocy dobrze opłaconej przez obywateli ówczesnej policji (strażników) w ostatnich czasach znacznie się zmniejszała, a tem samem zwierzostan się polepszał.

Można więc sobie wyobrazić, jak cała ta zbójecka zgraja z chwilą nastania osławionej swobody, splądrowawszy uprzednio dwory, wzięła się do zwierzyny. Chociaż lasy obywatelskie zostały upaństwowione, lecz urzędnicy leśni dbali głównie o napełnienie własnych kieszeni przy sprzedaży materjałów leśnych, a na takie drobnostki jak zając lub sarna nie zwracali uwagi. Zaczęła się istna orgja w kniejach: nie mówiąc o pojedyńczych myśliwcach, którzy już teraz jawnie po całych dniach plądrowali po polach i lasach z towarzyszem do noszenia w worku zwierzyny, — zbierały się całe gromady z naganką, którą ochoczo stanowiły rodziny myśliwych, — pod kierownictwem byłych gajowych; robili straszne spustoszenia, zwłaszcza pośród sarn, które już w 21 roku były niemal rzadkością. Na strzelbach tym łowcom nie zbywało, gdyż ci, którym za „pańskich" czasów broń skonfiskowano, powetowali to sobie grabiąc po dworach i serce bolało widząc w ręku takiego zbója nieraz śliczną i cenną broń z pierwszorzędnych zagranicznych fabryk pochodzącą.

Co prawda, nie długo się nią cieszyli, gdyż przy częstych przemarszach wojsk bolszewickich konfiskowano u włościan nie tylko karabiny i rewolwery, ale i broń myśliwską, a co najdziwniejsze, że pod tym względem największą energję okazywali żydzi, od których ani wyprosić się, ani wykupić nie było można.

Było to jednak zapóźno, gdyż $^3/_4$ zwierzyny już wyniszczono i, jak słychać, teraz resztę się wyniszcza.

Nie mogę zapewnić, czy na całej Ukrainie tak się działo, jak w okolicy, o której piszę — może p.p. myśliwi z innych miejscowości zechcą w tym względzie nadesłać swoje spostrzeżenia.

*Antoni Terpiłowski.*

---

# Medycyna weterynaryjna a zwierzostan.

**Cieniom ś. p. Henryka Skirmunta z Mołodowa.**

Nie na tem polega łowiectwo, żeby nieoględnie uśmiercać zwierzęta łowne, lecz wedle możności troszczyć się o nie, przyrost ich utrzymywać na stopie właściwej, strzedz od chorob zakaźnych, zaraźliwych i wkroczsych, t. j. od pasorzytów, napastujących w ten czy inny sposób bezbronną zwierzynę.

Działalność myśliwego-hodowcy polegać musi na: 1) tłumieniu chorób pomorowych, ogarniających zapowietrzone rewiry i 2) przeciwdziałaniu rozszerzalności paserzytnych owadów oraz robaków wnętrzaków, osiadłych w jelitach zwierząt łownych.

Sprawa ta jest w ścisłym związku ze sprawą tłumienia chorób zakaźnych, panujących wśrod dużych i małych przeżuwaczy, trzody, koni i t. p., co stanowi przedmiot przepisów i praw obowiązujących, przewidzianych w Ustawie policji weterynaryjnej państwowej.

Wskazania ustawowe powinny również obowiązywać Towarzystwa łowieckie co do zwierząt łownych. W ustawie mało omówione są choroby wkroczne (t. j. *inwazyjne*, przeciwstawne — *infekcyjnym*). Nie są one dostatecznie zobrazowane, pomimo, że są o wiele groźniejsze dla zwierząt łownych, niźli choroby zakaźne. Te ostatnie szerzą spustoszenie w szybkiem tempie, gdyż rychlej ujawniają swą obecność, pierwsze jednak trwają nieprzerwalnie groźniej, nękając zwierzostan. Chore zwierzęta stanowią łatwą zdobycz dla wroga.

O chorobach wkroczenych zwierząt *gospodarskich* mówi się niewiele, o powyższych chorobach, panujących wśród zwierząt łownych, mówi się jeszcze mniej. Kładzie się przytem zazwyczaj nacisk przedewszystkiem na budowę danego pasorzyta (morfologja), przytem czynności jego fizjo-

logicznych nie rozpatruje się prawie wcale. Stąd wypływa, że ogół myśliwski o roli pasorzytów mało jest powiadomiony.

Myśliwi winni zwrócić baczną uwagę na życie owadów-*pasorzytów*, uwijających się przy upolowanej zwierzynie. Owady należy obserwować w postaci drobnych osobników oraz w postaci larw, np. gzy i ich liszki u łosi, sarn i t. p. Podać należy bezwarunkowo zawartość jelit zwierzyny, celem wyszukania w nich robaków obłych itp. Zanim bowiem wnętrzności usunie się precz, należy je uprzednio przejrzeć i ocenić, czy się nadają na pokarm dla psów.

Oto wyrazisty przykład: tasiemiec, robak płaski psi, piłkowatym zwany, zapoczątkowuje swój byt w jelitach psa.

Młodociana postać owego tasiemca żyje w trzewiach zająca, nosząc postać *wągra*.

Istnieje więc A) tasiemiec (Taenia serrata) i B) jego wągry (Cysticercus pisiformis), dla odróżnienia od innych zwane groszkowatemi.

1) Pies, w jelitach którego usadowił się tasiemiec psi, wyrzucił z siebie dojrzałe człony, zawierające w sobie dojrzałe, zapłodnione jaja, jako twory niezbędne do podtrzymania ciągłości gatunku.

2) Zając, spożywca roślin, zjada społem z listkami przyklejone owe jaja tasiemcze, opatrzone tęgą błonką, przeto człony miękkie rozpadły się, a jaja przechowały w całości swą moc przyrodzoną.

3) W żołądku zająca błonka jaja uległa rozpuszczeniu, wskutek czego począł działać bodziec życiowy przyszłej istoty; przesunęła się ona do jelit i poczęła tworzyć młodocianą postać, t. j. wągra. A że jajek na roślinie była ilość spora, — przeto wytworzyły się grona spoczywających w cieczy wągrów, jako pęcherzyków, w których są zawarte zarodki.

4) Myśliwski (bądź niemyśliwski) pies otrzymał z kuchni jelita zajęcze wraz z ułożonemi groniasto pęcherzykami względnie wągrami groszkowatemi — do pożarcia. Pasorzyt bezwiednie dopiął celu.

5) Pies dotychczas cieszący się pełnią zdrowia, począł mizernieć, tracić apetyt lub przekraczać miarę zwykłego apetytu, często miewać wymioty i t. p. Przy bacznej uwadze okazałoby się, że pies wyrzuca krótsze lub dłuższe kolonje tasiemca, złożone z pojedyńczych ogniw, t. j. członków. Przy zejściu śmiertelnem psa okazałoby się, że jelita były nawiedzone przez tasiemce psie. Następnie odświeżając w pamięci wypadek oddania patrochów zajęczych psu, udałoby się ustalić okres od chwili przedostania się pasorzyta do czasu jego wzmożonej siły rozrodczej w postaci jaj już dojrzałych.

Powiązanie dat, nakarmienia psa wągrami groszkowatemi, pierwsze dostrzeżenie wypadania członów, rozpoczęcie leczenia, t. j. usunięcia tasiemców, — w następstwie odnotowanie wyników leczenia, a względnie śmierci psa i określenie wnętrzaków — oto punkty wytyczne dla badacza.

Strona praktyczna polega na niedawaniu wyżłom patrochów zajęczych.

Dostrzeżono również, że zające obarczone wągrzycą (chorobą na wągry) zapadają na *posocznicę* krwotoczną, czyli na zarazę zwierzyny, równoznaczną z chorobą bydła rogatego. Gdy ta ostatnia panuje w okolicy, zapadają na nią współcześnie i zające.

Posocznica krwotoczna dość często jest chorobą bydła i innych zwierząt gospodarczych, tudzież zwierzyny (sarn, łosi, zajęcy i t. p.). Posocznica krwotoczna jest chorobą ostro zakaźną, pastwiskową, która nawiedza bydło rogate i uzależnia się od wkroczenia do ustroju zwierzęcego, względnie zajęczego, bodźca chorobotwórczego w postaci dwubiegunowych bakteryi, znanych w nauce pod ogólną nazwą pastorelli. Tenże drobnoustrój, lubo gatunkowo odmienny, powoduje: 1) cholerę kur, 2) zarazę zwierzyny i 3) zarazę trzody chlewnej.

Z tego. co powiedziane, wypływa wniosek, że *w Ustawie łowieckiej winien być paragraf, omawiający choroby zakaźne, zaraźliwe i wkroczne.* W razie wybuchu tych chorób, należy o nich meldować organom administracyjnym (starostwom), celem przedsięwzięcia środków zaradczych odnośnie do zwierzostanu, na równi z zawiadomieniem okolicznych rewirów, celem przedsięwzięcia środków zaradczych.

*Dr. Wet. Piotr Boczkowski.*

---

# ROZMAITOŚCI.

## Zwierzyna wielkanocna.

W starym kalendarzu poznańskim spotykamy ciekawy opis święconego z czasów Władysława IV: które wyprawił w Dereczynie woj. Sapieha.

Na środku stołu był umieszczony baranek — wyrażający Agnus Dei; przy nim ogromnych dzików 4, wyrażających cztery pory roku (każdy dzik miał w sobie same wędliny wieprzowe, kiełbasy, szynki), dalej stało 12 jeleni ze złoconemi rogami, wyrażających 12 miesięcy; były one nadziane zającami, cietrzewiami, dropiami i pardwami.

# SPROSTOWANIE.

W ostatnim numerze naszego pisma po zacytowaniu z pisma „Św. Hubert“ opisu polowania na tygrysa w Afryce pominięto nast. komentarz naszej redakcji:

„Tygrysem nazywają w Afryce pdn. lamparta. Autor artykułu pisał oczywiście o lamparcie, nazywając go mylnie tygrysem“.

Dla ciekawości warto przypomnieć, że w Polsce średniowiecznej w kodeksach i dokumentach tygrysami nazywano rysie (np. w Kod. Mazow. z r. 1436).

# Odpowiedzi od Redakcji.

Z powodu nawału materjału zostają odłożone do następnego numeru.

# Ze Związków i Towarzystw.

**Zebranie Brzeskiego Kółka Łowieckiego.**

Dnia 18 lutego odbyło się walne zebranie brzeskiego kółka łowieckiego.

**Polski Związek Myśliwych.**

Oddział Poznański podaje co następuje:

Wobec faktu, że wielu członków nie uregulowało zaległych składek, został skarbnik Towarzystwa upoważniony do ściągania zaległości przez zaliczkę pocztową.

Składka członków wynosi za r. 1922 po 1500 mk., za rok 1923 po 500 mk. Ponieważ ostatnie walne zebranie uchwaliło jako składkę dla leśników tylko 500 mk., która to kwota wobec dewaluacji naszego pieniądza, nie pokrywa nawet kosztów pocztowych, zarząd uchwalił ściągać od wszystkich leśników z wyjątkiem nadleśniczych po 2.000 mk.

Zarząd postanowił zwołać walne zebranie w sobotę dnia 14 kwietnia 1923 r. o godz. 3 po południu w Izbie Rolniczej w Poznaniu, Mickiewicza 33. Porządek obrad: a) przedłożenie i zatwierdzenie statutów, b) podwyższenie składki rocznej, c) sprawa konkursu strzeleckiego, d) sprawa wystawy. Wystawa ma się odbyć w czasie wystawy koni w dniu 26—28 czerwca rb. Termin do zgłoszeń upływa z dniem 10 kwietnia 1923 r. W skład komisji wchodzą pp. Franciszek Unrug z Głuszyny p. Krzesiny i Mieczysław Kościelski z Poznania, Pl. Wolności 18.

Zarząd przyznaje gajowemu p. Pawłowi Zawadzkiemu z Goli pow. gostyński, który jako inwalida wojskowy schwycił 2 kłusowników, premję w wysokości 50.000 mk. i dyplom honorowy. Zarząd: Konstanty Chłapowski prezes Dr. Adam Chłapowski, sekretarz.

**Ze związku Polsk. Zw. Sportowych.**

W niedzielę, dn. 18 b. m. odbyło się w Warszawie miesięczne zebranie zarządu Zw. Polsk. Zw. Sp. Porządek dzienny wypełnił sprawy finansów Związku, wyborów przyszłego zarządu, walnego zgromadzenia i inne.

Ze sprawozdania komitetu wykonawczego, złożonego przez B. Kowalewskiego, okazało się, że dotychczas związki sportowe, jakkolwiek obowiązały się wpłacać 5 procent od obrotu na rzecz Z. Z., uchylały się niemal wszystkie od tego obowiązku, czego najlepszym dowodem jest suma 18.000 mkp. (!!), jaka wpłynęła z tego podatku do kasy za cały rok 1922.

Na członków zwyczajnych Z. Z. postanowiono przyjąć Polskie Tow. Atletyczne, oraz Pol. Zw. Myśliwych. Celem zaś ostatecznego zorganizowania Związku Strzeleckiego postanowiono zainicjować zjazd osób, uprawiających tę gałęź sportu.

Termin walnego zebrania Z. Z. ustalono na d. 28 i 29 kwietnia r. b. w Warszawie, przyjąwszy za zasadę, że na 16 członków zarządu, 11 będzie stale zamieszkałych w Warszawie, 2—we Lwowie a po 1 w Krakowie, Poznaniu i Wilnie. Przyjęto do wiadomości oświadczenie p. Garczyńskiego o przygotowaniach na Olimpjadę paryską, czynionych przez wojsko w dziale hippiki pod kierownictwem pułk. Zahorskiego.

---

# LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam honor najuprzejmiej prosić o zamieszczenie poniżej załączonego wyjaśnienia na łamach Jego poczytnego wydawnictwa.

W numerze 16 „Głosu Poleskiego" ukazał się artykuł p. t. „Pionerzy Kultury Łowieckiej". Artykuł ten pióra niewiadomego autora zawiera szereg zarzutów, a nawet obelg pod adresem „Poleskiego Tow. Myśliwskiego". Zanim sprawą tą zajmą się władze sądowe, winien jestem, jako prezes Poleskiego Tow. Myśliw. następujące wyjaśnienie.

Bezpodstawna napaść zazdrosnego autora artykułu zamieszczonego w „Głosie Poleskim" oparta jest poprostu na mylnej interpretacji terminów ochronnych w obowiązującej ustawie łowieckiej, W całym zaborze rosyjskim obowiązują przepisy o polowaniu z d. 17 lipca 1871 r. w których w myśl § 16-go strzelanie do samców sarn, a więc do rogaczy i do kogutów: głuszców, cietrzewi i jarząbków dozwolone jest przez cały rok.

Na zasadzie rozporządzenia Min. R. i D. P. (Dz. Ust. Rz. P. 20 r. № 79 poz. 422) wydanego na podstawie Art. 17 Dekretu Rady Reg. z dn. 3 stycznia 1918 r. D. P. M. R. ustanowiona została ochrona rogaczów od 15/I do 30/IV i na głuszce zarówno koguty i kury. przez cały rok— jedynie na terytorjach województwa Warszawskiego, Kieleckiego, Łódzkiego, Lubelskiego i Białostockiego, a więc nie na terenie woj. Poleskiego, gdzie zgodnie z prawem zabite zostały przez grono myśliwych z Tow. Poleskiego owe trzy rogacze, przedmiot zazdrości i napaści „Głosu Poleskiego". Jak widzimy zarzut nieznajomości ustaw łowieckich zwraca się tem samem przeciwko napastnikowi. Podniesienie zaś zarzutu, kłusownictwa odkładamy na inne forum, przed którem wkrótce stanie albo zdemaskowany autor kłamliwej napaści, albo redaktor „Głosu Poleskiego".

Że myśliwi Tow. Poleskiego byli w zupełnym porządku świadczy rozkaz Głów. Kom. Pań. wydany na zasadzie wyjaśnienia Min. Rolnictwa i D. P. zwalniający przywiezioną zwierzynę od sekwestru, któremu uległa ona na skutek tajemniczego telefonogramu wysłanego do posterunków Policji Kolejowej na stacji Łuków i Warszawa.

Dochodzenie policyjne w kwestji autorstwa owych telefonogramów dowiodą zapewne, iż źródła całej akcji, skierowanej przeciwko Poleskiemu Tow. Myśliwskiemu w jednem spoczywają ręku.

Racz przyjąć Panie Redaktorze wyrazy wysokiego szacunku i poważania z jakiemi pozostaję

*Stanisław Lilpop.*

Druk. Spółka Wydawnicza Powszechna, Szpitalna Nr. 1.